

HOW TO  
MAKE  
FRIENDS  
WITH THE  
DARK





**HOW TO  
MAKE  
FRIENDS  
WITH THE  
DARK**

**KATHLEEN GLASGOW**

Przełożyła Ewa Bobocińska



Tytuł oryginału: *How To Make Friends With the Dark*

First published by Delacorte Press, an imprint of Random House Children's Books, a division of Penguin Random House LLC, New York.

Text copyright © 2019 by Kathleen Glasgow  
Jacket art copyright © 2019 by Oneworld Publications

Redakcja: Marta Tojza  
Korekta: Marta Stochmiałek, Renata Kuk  
Skład i łamanie: Robert Majcher  
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-148-4

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: **opolgraf**   
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Creamy 70,  
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Ta książka  
jest dla pogrążonych w żałobie  
Ta książka  
jest dla tych, którzy pozostali  
Ta książka  
jest dla każdego złamanego serca,  
które szuka domu*



PRZEDTEM





ZNALAZŁAM RACHUNKI PRZYPADKIEM, wepchnięte pod stertę bielizny w komodzie, którą dzielimy z matką. Zamiast na czyste skarpetki trafiłam rękami na gruby plik kopert opatrzonych napisami: *Pilne, Ostatnie upomnienie, Prosimy o natychmiastowy kontakt.*

Serce bije mi mocniej. Nie mamy za wiele, nigdy nie miałyśmy, ale jakoś radziłyśmy sobie z tym, co mama zarabia w okręgowej Bibliotece Objazdowej i z pomocy w przedszkolu Bonity. Latem dochodzi Jellymobile, ale to całkiem inna historia.

Nie chowasz czegoś w szufladzie, chyba że to cię martwi.

Mama leży na tapczanie od wczorajszego ranka i owinięta czarno-czerwonym kocem przesypia ból głowy.

– Mamo – mówię głośno. – Mamusiu!

Brak odpowiedzi. Sprawdzam godzinę na przekrzywionym zegarze wiszącym na ścianie. Czterdzieści minut do lekcji zerowej.

Jesteśmy, jak mawia mama, „dobrze naoliwioną, dobrze wyglądającą i dobrze pachnącą maszyną”. Ale ja potrzebuję drugiej połówki tej maszyny, żeby na mnie trąbiła i buczała, i robiła wszystko to, co mamy robić powinny. Gdybym jej nie miała, nie miałabym nic. Nie jak u mojej przyjaciółki Cake, która ma oboje rodziców oraz wujka, którzy z nią mieszkają. Kiedy moja mama jest chora albo zdołowana, cholernie brakuje mi pomocy i towarzystwa.

I podwózki do szkoły.

– Mamo! – krzyczę najgłośniej jak się da, praktycznie zdieram sobie gardło. Wpycham rachunki z powrotem pod bieliznę i idę do frontowego pokoju.

Krzyk podziałął. Mama siedzi, wełniany koc leży zmięty na podłodze.

– Ja też ci życzę dobrego dnia – mamrocze grubym głosem.

Jej krótkie włosy są z jednej strony skołtunione, a z drugiej nastroszone. Rozgląda się dookoła, jakby niczego nie poznawała, jakby była kosmitką nagle zrzuconą w naszą dziwną, ziemską atmosferę.

Mruga raz, drugi i trzeci, potem się odzywa.

– Tiger, dziecinko, zrób mi kawy, dobrze?

– Nie ma kawy. – Używam swojego najbardziej oskarżycielskiego tonu. Muszę być troszeczkę nieprzyjemna. To znaczy no weź. Wygląda na to, że jesteśmy w niezłych tarapatach, na dodatek jeszcze parę spraw, na przykład Kai, wypala mi dziurę w mózgu. Potrzeba mi maminych działań. – Nie ma nic – mówię. – No, jest masło orzechowe. Możesz dostać wielki, gorący kubek tłustego, parującego masła orzechowego.

Mama się uśmiecha, co mnie rozwała, bo nie mogę się oprzeć temu uśmiechowi i wszystko, co zamierzałam powiedzieć o stosie niezapłaconych rachunków, jakby ulatywało przez okno. Teraz wszystko da się naprawić. Wszystko będzie dobrze, jak zawsze.

Możemy znowu trąbić i buczeć.

Mama wstaje i podchodzi do czerwonego ekspresu do kawy. Kawa to jej narkotyk. Kawa i papierosy, choć w kółko powtarzamy jej z Bonitą i Cake, że są obrzydliwe i okropnie szkodliwe. Jak byłam mała, budziłam się o świcie, od razu gotowa do zabawy z mamą, tylko z nią, zanim zaciągnie mnie do przedszkola, ale zawsze musiałam poczekać, aż wypije pierwszą kawę i wypali pierwszego papierosa. To oczekiwanie, aż ta głupia maszyna wybulgocze filiżankę, kiedy ręce wręcz mnie świerbiły, aby dobrać się do lego albo bierek, było prawdziwą udręką.

Mama wydaje ciężkie westchnienie.

– Cholera! – mówi. – Dziecko! Lepiej, żebym wzięła dupę w troki, nie? – Staje przy zlewie i próbuje odkręcić kran, ale nic nie leci.

– Woda ciągle schrzaniona? A miałam nadzieję, że to był tylko zły sen. – Ruchem głowy wskazuje kran. – Pacheco nie odbiera moich telefonów. – Pan Pacheco jest właścicielem naszego domu, niezbyt miłym. – Pewnie tym też będę musiała się dziś zająć – mruczy mama.

Milczę. Czy ona mówi o rachunkach? Może powinnam...

Mama wyciąga ramiona.

– Chodź tu, dziecko. Tutaj. Chodź do mnie.

Biegnę tak szybko, że niemal wywalam się na leżącym na podłodze wytartym wełnianym dywanie i wpadam na nią z impetem, moja twarz ląduje tuż pod jej obojczykiem. Mama muska ustami czubek mojej głowy.

Drży. Jej koszula jest wilgotna, jakby mama się spociła. Pewnie potrzebuje papierosa.

– Przepraszam – szepcze mi we włosy – Nie wiem, co się dzieje. Głowa mi pęka z bólu. Bonita wyjeżdża, zamyka przedszkole. Ja po prostu... za dużo naraz się na mnie zważyło i pewnie jestem zestresowana. Czy zjadłaś coś wczoraj wieczorem?

Zjadłam tylko paczkę limonkowych Jell-O i mój żołądek gwałtownie domaga się jedzenia, ale nie mówię jej o tym. Tylko ciągle się o nią ocieram.

Mama odsuwa się i zaczyna się śmiać.

– Grace. – Wzdragam się na dźwięk swojego prawdziwego imienia. – Gracie, ta góra od pizamy już na ciebie nie pasuje, laleczko.

Obciążam z zażenowaniem dół T-shirtu i krzyżuję ramiona na piersiach.

Mama wzdycha. Wiem, co zaraz będzie, więc przygotowuję moją znudzoną minę.

– Tiger – mówi stanowczym tonem. – Jesteś piękną dziewczyną. Ja tylko droczyłam się z tobą, a nie powinnam. Absolutnie nie musisz siebie chować. Wyrastasz na cudowną istotę. Nie wstydz się tego.

*Cudowną.* Ona i Bonita mają hopla na punkcie tej afirmacyjnej gadaniny. Cake zwykła powtarzać, że ich życiową misją jest Ukształtowanie Lepszej Dziewczyny, Niż One Były.

– Wiesz – powiedziała mi kiedyś – pewnie ich mamy przed balem brały je na dietę składającą się z wiejskiego twarogu i kazały im ścisnąć kolana w obecności chłopców.

Przewracam oczami i wydaję jęk.

– Ty musisz mówić takie rzeczy – odpowiadam. – Jesteś moją mamą. To wchodzi w zakres twoich obowiązków.

Jej twarz łagodnieje, a ja czuję się winna. Podśluchałam kiedyś, jak mówiła do Bonity:

– Wiesz, próbuję mówić Tiger to wszystko, czego mnie nigdy nie było dane usłyszeć.

Zawsze chciałam wiedzieć, czegoż to nie było dane jej usłyszeć? Bo mama jest bardzo skryta, jeśli chodzi o wczesne lata swojego życia, zanim została mamą, o okres dzieciństwa. Jej rodzice zmarli, kiedy była w college'u, i nie lubi o nich rozmawiać.

Mama myszkuje w szafkach i jakoś udaje jej się gdzieś znaleźć samotną puszkę coli, chociaż ja bez powodzenia przetrząsałam te same szafki poprzedniego wieczoru w poszukiwaniu czegokolwiek jadalnego. Z wdzięcznością pociąga duży łyk i wyciera usta. Wyławia z torebki papierosa.

– Idź się ubrać, Tiger. Podrzucę cię do szkoły, a potem mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Czeka mnie dzisiaj piekielny dzień. Jedzenie, Pacheco, praca. Odrobię wszystkie zaniedbania, okej?

– Okej.

Mama wychodzi na podwórze za domem na papierosa, a ja idę do sypialni i rozpaczliwie szukam czegoś nadającego się do włożenia w swojej szafie, pełnej rzeczy nienadających się do włożenia. Mama uważa, że wyciąganie ciuchów z pudeł na poboczu drogi jest kreatywne, zabawne, interesujące i dowodzi troski o środowisko („To,

co dla kogoś jest śmieciem, dla innego stanowi skarb!”), a nie jest skutkiem ubocznym naszych nader ograniczonych finansów. Ale czasami chciałabym pójść do szkoły ubrana tak jak wszystkie inne dziewczyny, w legginsy i podkoszulek, i może w modnych sandałach z samych pasków, odsłaniających różowe, wypolerowane paznokcie. Tymczasem przeważnie wyglądam jak istota zapomniana przez czas, ustrojona w stare ciuchy, które wyglądają jak... no cóż, jak *stare ciuchy*.

Wyciągam spódnicę i wypłowiwały T-shirt, wciskam na głowę czapkę bejsbolówkę, ponieważ woda w prysznicu także zaczyna wyglądać podejrzanie, kąpiel nie wchodzi w rachubę. Szoruję zęby jak szatan i spryskuję twarz wodą.

A potem, jak zawsze, pozwalam sobie na minimum trzysekundowe rozważania: *Kto to jest, do diabła? Skąd ona się wzięła?*

Ponieważ ciemne, falowane włosy zupełnie nie przypominają krótkiego, jasnoblond mopa mamy. Moje piegi wyglądają jak plamki błota w porównaniu z jej kremową, nieskazitelną cerą.

Tyle we mnie pochodzi od Osoby, Której Imienia Nie Wolno Wymawiać. Tyle jest we mnie nieznanego pochodzenia.

Ale jestem, jaka jestem, i w tej chwili muszę wprawić swoją matkę w ruch, dotrzeć do szkoły, przebrnąć przez godzinę zero i ten mały gówniany show, nadawany pięć dni w tygodniu, który chętnie określałam jako „Horror Lupe Hidalgo”. A po nim, jeśli przeżyję, przyjdzie biologia i Kai Henderson, na myśl o którym moje serce zaczyna walić jak głupie, a ja zachowuję się jak zakochana kretynka, i to jest jedna ze spraw do przedyskutowania z matką.

\* \* \*

W samochodzie mama skacze po kanałach radiowych. A mój pusty brzuch wyje jak syrena strażacka, więc wygrzebuję z dna plecaka ja-

kieś Ostatnie Deski Ratunku. Może kłaki i kurz mają jakieś kalorie, które pozwolą mi przetrwać do lunchu.

Cmoktam je, kiedy dzwoni telefon. Cake.

*Wstała?*

*Tak! W samochodzie.*

*Dzięki Bogu! Już jej powiedziałaś?*

Zerkam na mamę. Mruczy coś pod nosem, próbując nastroić radio w naszej starożytnej hondzie, która trzyma się kupy dzięki taśmie klejącej i nadziei.

Mama wygląda na zmęczoną. Może jednak jeszcze boli ją głowa. A może to wina zaległych rachunków. Może powinnam pójść do pracy, pomóc. Mogłabym pakować zakupy do toreb w Stop N Shop. Albo zostać pomocnicą kelnera w Cucaracha.

Wystukuję:

*Jeszcze nie.*

*Po prostu to zrób. Zerwij plaster, Tiger. Potem możesz czmychnąć z samochodu i aż do wieczora nie będziesz musiała się z nią spotkać.*

Nie odpowiadam. To będzie skomplikowana sprawa, ta rzecz z Kaiem.

Moja matka jest odrobinę nadopiekuńcza.

Nie będzie zachwycona, że idę z Kaiem Hendersonem na potańcówkę do Eugene'a Fielda z okazji Dnia Pamięci. Nie dlatego, że go nie lubi, bo lubi. Zna go od małego, odkąd w przedszkolu Bonity pojawił się przebojowy szkrab z podrapanymi kolanami i nieposkromionym apetytem na ciasteczka maślane. Ona po prostu nie lubi, kiedy ja... no, kiedy nie jestem z nią.

– Aha. – Mama uśmiecha się szeroko. – Ta jest dobra.

Podkręca dźwięk. Kolejna piosenka sprzed lat, nic nowego, nic, co ja bym wybrała. Ona z kolei kręci nosem na piosenki, które my z Cake gramy w naszej kapeli Połamana Kołyska; nazywa je eksperymentalnym jazgotem. Możliwe, że to „eksperymentalne” brzmie-

nie to moja sprawka, bo ja przeważnie walę w bębny, nie bardzo wiedząc, co robię. Jestem w zespole tylko po to, by wspierać Cake, która jest geniuszem muzycznym. I dla Kaia, który wygląda słodko i marzycielsko, szarpiąc gitarę basową, z pobrużdżonym czołem, jak by napisano w jednej z moich książek.

– Idę na Dzień Pamięci z Kaiem Hendersonem – rzucam bez żadnych wstępów, może dlatego, że nagle czuję się tak, jakby matka zawsze mnie tłamsiła.

I w chwili, gdy te słowa padają z moich ust, czuję jednocześnie żal i zadowolenie. Znaczy co ona robi? Mam szesnaście lat. Mogę pójść na potańcówkę jak każdy, przynajmniej raz.

Mama ścisza radio.

– Co? – wypowiada słowa powoli. – Od kiedy? Kiedy to... się stało? Biorę głęboki oddech.

– Dwa tygodnie temu. Zaprosił mnie. Idę. Będzie fajnie. Cake też idzie. Wszyscy idą.

– Czekaj – mówi znowu. – Kai? Ten Kai? Nasz chłopak, zawsze z nosem w podręcznikach medycyny?

Wzdycham.

– Tak.

Cisza. Upadam na duchu. Wiedziałam. Mogę prawie odliczać sekundy, więc to robię: dziesięć... dziewięć... osiem...

– No nie wiem, Tiger. To tak nagle i nie rozmawialiśmy w ogóle na ten temat. Znaczy jest kwestia picia, prawdopodobnie będzie afterparty...

– Ja nie piję – wchodzę jej w słowo. – Nie imprezuję, nie palę. Nikt nigdy nie obmacywał mi cycków, nie licząc tego obrzydliwego lekarza. Chcę tylko pójść na zabawę i tańczyć jak wszyscy. Chociaż raz.

– Czy ty... czy to... czy on jest teraz twoim chłopakiem? Czy to się dzieje?

Czuję wzrok mamy na swojej twarzy. I po mojej szyi wędruje w górę rumieniec.

– Nie.

To znaczy jeszcze nie. Może. Pewnego dnia. Na przykład po potańcówce, niewykluczone. Czy nie tak to się dzieje? Po prostu wpadasz w coś? Znam to tylko z książek i filmów, i z obserwacji innych dzieciaków z Eugene’a Fielda, i pamiętam, jak to było z Cake i tamtym chłopakiem z Sierra Vista. Znaczący co ja dotychczas zrobiłam bez mamy? Nic. Chodzę do szkoły, czasami pogapię się na skaterów w The Pit, wracam do domu, czytam i...

Siedzę zamknięta w tym naszym małym życiu. I tylko obserwuję innych. Kręcę się w kółko jak robak w słoiku.

W oddali widzę dzieciaki zalewające teren parkingu i trawnik przed Szkołą Średnią imienia Eugene’a Fielda. Jeśli tylko zdołam wytrzymać do chwili, gdy dotrzemy na miejsce, będę miała przed sobą siedem godzin wolnych od mamy. W brzuchu nieprzyzwoicie burczy mi z głodu. Czuję osłabienie i przygnębienie.

Dlaczego, do licha, taka jedna głupia, normalna rzecz musi być taka trudna?

– To tylko potańcówka – szepczę. W oczach wzbierają mi łzy. Kręci mnie w nosie. Zaczynam ustępować, jak zawsze. Ustąpiłam, kiedy mama udawała, że gimnastyka jest dla nas za droga, choć chodziło tylko o kilka lekcji w niewielkim domu kultury, na podniszczonych materacach. Ustąpiłam, kiedy Cake chciała, żebym chodziła z nią na tańce, kiedy miałam szansę dołączyć do rozgrywek szachowych po lekcjach. Zrezygnowałam ze wszystkiego. Jedyne, co w życiu miałam, to deskorolka, ale to było cztery lata temu, potem i to mi odebrała. – Idę na tańce z Kaiem Hendersonem – mówię i mój głos nabiera nagle stalowego brzmienia. – Nie możesz mnie powstrzymać. I byłoby źle, gdybyś to zrobiła.

Mama wjeżdża na teren parkingu, omijając z daleka Mae-Lynn Carpenter, uginającą się pod ciężarem ogromnego plecaka. Mae-Lynn



patrzy na nas ponuro i rusza dalej. Chyba nigdy nie widziałam uśmiechu na jej twarzy.

– Grace, musimy porozmawiać o tym później. – Matka kładzie rękę na moim ramieniu. – To poważna sprawa. Wcale nie taka drobnostka, jak ci się wydaje.

– Nie – mówię i wtedy dzieje się to. Z moich oczu tryskają łzy. – To jest dokładnie taka drobnostka, jak mi się wydaje. To są serpenty i poncz z alkoholem, i tandetna muzyka, i afterparty. Coś, co dzieciaki robią od niepamiętnych czasów, ale ja nigdy. Aż do dzisiaj.

– Tiger, proszę – mówi mama, ale ja już wysiadam, zarzucam plecak na ramię i opuszczam głowę, żeby nikt nie widział, że płaczę.

\* \* \*

Jak tylko zajmuję miejsce na lekcji zerowej, zaczyna się pisanie SMS-ów, mój telefon brzęczy natarczywie w głębi plecaka, wszczynając wojenkę z chaosem panującym w moim nienakarmionym żołądkiem. Okazuje się, że te Ostatnie Deski Ratunku jednak niezbyt skutecznie ratują życie.

Hałas zwraca uwagę Lupe Hidalgo, podobnie jak zapach malutkich, przerażonych ludzików potrafi zbudzić śpiące olbrzymy w bajkach dla dzieci.

Lupe Hidalgo wzdycha. Lupe Hidalgo wbija w stół czubek naostrzonego, bardzo mocno naostrzonego ołówka. Nogi Lupe Hidalgo podrygują, podeszwy jej butów postukują w czarno-białe płytki posadzki.

Patrzy na mnie zimno, a potem przenosi wzrok na mój plecak. Marszczy czoło.

Następuje szybka wymiana spojrzeń pomiędzy mną a trójką pozostałych osób przy naszym stoliku na lekcji wychowawczej. Tina Carillo patrzy na mnie; ja przesuwam oczy na Rodriga; Rodrigo wy-

ciąga ręce nad głowę i przewraca oczami w stronę Kelsey Cameron, która nie patrzy na nikogo, bo jest zajęta oglądaniem samej siebie w telefonie i pozowaniem do selfie.

Lupe postukuje ołówkiem. Przechyla głowę na prawo. Przechyla głowę na lewo. Lśniący czarny kucyk kołysze się jej na plecach.

To sygnał, że zaraz się na kimś wyładuje. Lupe potrafi się skupić jedynie na boisku do softballu. Właśnie dlatego od następnej jesieni rozpoczyna studia na U of A (Uniwersytet Stanu Arizona), do tego dostanie pełne stypendium. Chodzą słuchy, że potrafi rzucać piłkę tak szybko i tak mocno, że łapaczka, Mercy Quintero, po meczu godzinami trzyma ręce w lodzie. Potrafi też wbić mocną, płaską piłkę prosto w miękki brzuch niczego niespodziewającej się dziewczyny z Flagstaff.

Lupe Hidalgo jest tak dobra w softballu, że ma się wrażenie, jakby była jedyną zawodniczką w drużynie. Znaczą oczywiście widywałam inne dziewczyny łąjące w dniu meczu po korytarzach Eugene'a Fielda z wysoko związanymi końskimi ogonami, w podkolanówkach w paski i rozpiętych czarno-szarych bluzach drużyny, spod których wylaniał się uroczy biały lisek, maskotka zespołu, zwinięty wokół liter *Zorros*, ale na miłość boską, nie mam pojęcia, kim one są.

Lupe Hidalgo to zaćmienie. Przesuwa się po wszystkim jak efektowny cień, na który musisz patrzeć, choć wiesz, że będzie bolało.

I przypadkowo właśnie to robię.

W jednej chwili serce ucieka mi do pięt. Do tych moich głupich, wypłowiałych, białych tenisówek, na których wymalowałam flamastrzem gwiazdy i księżycy, i małą, pękniętą na pół kołyskę, na cześć naszego zespołu.

Lupe przesuwa błyszczącymi oczami po moim ciele. Instynktownie krzyżuję ramiona na piersi. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś – zwykle chłopak, ale czasem i dziewczyna – zakpi złośliwie z mojego biustu.

– Masz piękne ciało – mówi zawsze mama. – Przestań się kulić. Łatwo jej mówić. Jej cycki są jak malutkie filiżaneczki, delikatne i wyrafinowane.

Wyrzucam mamę z głowy. Po kłótni w samochodzie wcale nie czuję się taką heroiczną triumfatorką, jak bym chciała. Teraz jest mi głównie niedobrze, jestem głodna i chyba wystraszona. Postanawiam już o niej dzisiaj nie myśleć.

Mój telefon dzwoni, jak na zawołanie. Jakby mama wiedziała, że tego dnia próbuję się odciąć od niej jak nożem.

Trudno uwierzyć, że akurat mnie przytrafia się szesnaście milionów szarpiących nerwy, dołujących rzeczy naraz.

W duchu proszę panią Perez, żeby przestała mamrotać coś na przedzie klasy i zaczęła już zajęcia, ale ona pozostaje w błogiej nieświadomości piekła, jakie zaraz się przede mną otworzy, i ciągle szura papierzyskami po biurku.

– No to zaczynamy! – mruczy do mnie Tina Carillo i wzrusza ramionami.

Lupe kończy pośpieszną lustrację mojej osoby.

– Co za gówno dzisiaj na siebie włożyłaś, dziewczyno?

Całe moje ciało sztywnieje. Pochodzenie i wygląd moich ubrań to prawdziwa obsesja Lupe od trzeciej klasy podstawówki Thunder Elementary, kiedy to wysmarowała tłuczonymi ziemniakami moją koszulkę Hello Kitty.

– Głupi kot – powiedziała wtedy. – Idiotyczna koszulka.

Siedzący obok mnie Rodrigo prychnął i wyciąga swój telefon.

– Chryste, za kogo ty się masz? Za pieprzoną Stevie Nicks?

Może wy nie znacie złotej bogini muzyki lat siedemdziesiątych, muzy niesamowitej kapeli nazywanej Fleetwood Mac, jednej z najdziwniejszych i najbardziej eterycznych piosenek wszech czasów, przemykającej po estradzie na sześciocalowych obcasach, w aksami-tach, z połyskującym błyszczkiem na ustach i brokatem. Ale tutaj,

w gorącej jak samo piekło Arizonie, miejscu urodzenia naszej złotej dziewczyny, wszyscy wiemy, kim jest Stevie.

Lupe bierze w dwa palce rąbek mojego T-shirtu z błyszczącym jednorożcem i zbliża twarz do mojej twarzy. Jej makijaż jest gładki i perfekcyjny, kreski na powiekach biegną ku skroniom jak czarne skrzydła.

– Dziewczyno – szepcze. Słyszę lekkie mlaśnięcie gumy do żucia w jej ustach. – Po prostu... nie.

Wszyscy wokół nas chichoczą. Laska, której nazwiska nie mogę zapamiętać, ale jej twarz zawsze wygląda tak, jakbyssała cytrynę, robi mi fotkę.

Super, teraz stanę się pośmiewiskiem na cały świat: #nudziara #dziwaczka #licealnaoszołomka #niedojdazjednorożcem.

Moja twarz płonie, zalewa mnie fala gorąca i wiem, że wszyscy to widzą. Jestem słaba w nierumienieniu się i w niewpadaniu w zakłopotanie, i w niepokazywaniu po sobie wściekłości czy frustracji. Mama określa to „pasją do życia”, ale przecież to właśnie przez mamę jestem wyszydzana o siódmej dwadzieścia pięć w sali numer dwadzieścia dziewięć Szkoły Średniej imienia Eugene’a Fielda w Mesa Luna w stanie Arizona.

Codziennie chodzę do szkoły ubrana jak szczęściara, która cudem zdobyła bilet na koncert Grateful Dead. Jeśli nie wiecie, kto to jest, to sobie sprawdźcie – zobaczycie tłum zwariowanych ludzi w bluzkach pofarbowanych po związaniu ich w supeł i w spódnicach z aksamitu z dzwoneczkami przyszytymi na dole, którzy próbują dostrzec zespół, składający się głównie z naćpanych typów w brudnych podkoszulkach wyglądających tak, jakby nie myli się od lat sześćdziesiątych, kiedy zaczęli te bzdury. Moja garderoba składa się z T-shirtów zespołów sprzed lat, wspomnianych wyżej hippisowskich spódnic, męskich spodni, starych marynarek i czasami ręcznie dzierganych szalików, „dla ozdoby”, jak mówi mama.

Odwracam wzrok od Lupe i zerkam na swoje ubranie. Nie mogę nawet sama wybierać sobie tych cholernych ciuchów.

Mój telefon wibruje. Odruchowo kopię w plecak, jakby to mogło powstrzymać dzwonienie. I moją matkę.

Lupe patrzy na mnie i potrząsa głową.

– Au, mama znowu cię sprawdza?

W jej ustach brzmi to jak *Mm-mn-mm-nooooo*, Lupe podnosi rękę i macha nadgarstkiem. Kelsey Cameron się śmieje. Piorunuję ją wzrokiem, czuję się niemal zdradzona. Nie jesteśmy przyjaciółkami – mam tylko jedną przyjaciółkę, Cake – ale jednak! Dzielimy stolik z demone, jakim jest Lupe Hidalgo. To powinno mieć jakieś znaczenie!

*Sorry*, mówi Kelsey bezgłośnie, samym ruchem warg.

Lupe wzdycha i wskazuje mnie ruchem ręki.

– Nie mogę siedzieć koło czegoś takiego. Co będzie, jeśli to przejdzie na mnie? Na to? – Przesuwa rękami po swoim ciele jak hostessa w teleturnieju. Lupe Hidalgo jest ładna i zgrabna; nawet w zwykłym białym T-shircie, czarnych dżinsach i botkach wygląda olśniewająco jak niebezpieczna bogini.

Po prostu nie potrafię zrozumieć, jak jedna z dwóch nastolatek może wydawać się taka dorosła, pewna siebie i seksowna, a druga, czyli ja, przypomina zakalcowate ciasto.

Zupełnie jakby przy rozdawaniu instrukcji tylko niektóre dziewczyny je odebrały.

Podnoszę wzrok. Mae-Lynn Carpenter siedzi na wprost mnie przy innym stoliku, pochylona nisko nad notatnikiem, z końcem ołówka wepchniętym od niechcienia do ust. Bluzka podwinęła jej się na plecach, odsłaniając pas pokrytej meszkiem skóry. Dwie dziewczyny siedzące obok podśmiewają się ze śnieżnobiałej bielizny wystającej spod elastycznego pasa spodni Mae-Lynn.

Dziewczyny takie jak ja i Mae-Lynn niewątpliwie nie odebrały wspomnianej instrukcji.

Czuję w oczach łzy, bo teraz za sprawą Lupe już wszyscy zwracają na mnie uwagę. Wszyscy poza panią Perez, która pisze coś na tablicy.

Gdyby była tutaj Cake, znalazłaby jakąś kąśliwą odpowiedź, ale jej nie ma, a ja pewnie z tysiąc razy dziennie, w sytuacjach takich jak ta, myślę: *Co zrobiłaby Cake?* Często żartuję, że powinnam mieć bransoletkę z napisem CZC, zamiast CZJ, ale Cake się z tego śmieje.

– Powinnaś tylko więcej krzyczeć – twierdzi. – Pyskować. Żyć zgodnie ze swoim imieniem.

Wszyscy kochają Cake. Wszyscy podziwiają Cake. To pięć stóp i dziesięć cali odlotowości, brawury i czarno-fioletowych włosów perfekcyjnie upiętych w koczki księżniczki Lei. To prawdziwa gwiazda rocka na etapie wstąpienia i jedyny powód, dla którego nie została ostatecznie zesłana do Nigdziebądź na Drabinie Osamotnienia Szkoły Średniej imienia Eugene'a Fielda.

Znowu zerkam na Mae-Lynn Carpenter. Ona jest na ostatnim szczeblu Drabiny Osamotnienia Szkoły Średniej, która powinna nosić jej imię.

Mae-Lynn ma na sobie różową bluzę dresową z kociakiem. Kociakiem z prawdziwym futerkiem i wytłaczanym naszyjnikiem z perełek. Przełykam z trudem. Przynajmniej ja tak nisko nie upadłam. Mój jednorozec może i jest błyszczący, ale przynajmniej nie jest futerkowy.

Poprawiam swój T-shirt, żeby nie podjeżdżał za bardzo do góry na brzuchu.

Mój telefon znowu dzwoni. W brzuchu mi burczy. Lupe z zaciekawieniem patrzy na mój plecak.

– Zastanawiam się, co może być takie ważne? Czyżby mała córeczka zapomniała o lu...

– Lupe Hidalgo i Tiger Tolliver, czy jesteście dzisiaj gotowe do nauki, czy mam was obie odesłać do dyrektorki Veli?

Nareszcie. Grzmiący głos pani Perez dobiega z przodu sali. Wokół rozlegają się szmery telefonów wsuwanych jednocześnie pod ław-

kę, dźwięki zasuwanych kosmetyczek i chrząknięcia oczyszczające gardło. Pani Perez, kiedy już przystępuje do działania, nie opiera się, choć do zakończenia roku szkolnego pozostał już tylko miesiąc.

Lupe potrząsa głową, jej koński ogon się kołysze. Stoliki w klasie są okrągłe, więc kiedy odwraca się twarzą do nauczycielki, pokazuje mi plecy. Jej łopatki zarysowują się pod opinającym je T-shirtem, wyglądają jak skrzydła przykryte materiałem.

Lupe Hidalgo jest taka piękna, że patrzenie na nią sprawia ból, więc odwracam wzrok, patrzę na zegar wiszący wysoko na ścianie i zaczynam odliczanie do biologii i Kaia Hendersona.